

Stanisław Wnorowski

część II z II

Sygnatura notacji: **N0128**

Data urodzenia: **22.04.1947 r.**

Data nagrania: **30.05.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Przemyśl, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 68 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Wnorowski: Wychowywałem się tam w Ostrzeszowie i w Turzu całkiem po prostu przez okres dziewięciu lat. Gdzie przyzwyczaiłem się, bo miałem siostrę i brata w końcu starszych. Zżyliśmy się. Dla mnie mama to była pani, ja nie wiedziałem. Mimo, że mama, ciotka mi tłumaczyła, że to moja mama, że jedziemy. Dla mnie to nie stanowiło jakiejś relacji. Mama to była ciotka, wujek był tata, siostra, brat, babcia. I ja nie miałem. Tamta mama to była jakaś pani, ciocia. I rzeczywiście po dziewięciu tam perypetiach w więzieniu to mama miała różne. Gdzie tam różne kobiety siedziały, przeważnie z wysokimi wyrokami, też takimi samymi jak mama. Ale to różne, i z Powstania Warszawskiego były i z NSZ-u. No, różne kobiety. Mama nie znosiła papierosów. W celi jak było później, przenieśli do czteroosobowej celi, czy sześćosobowej, po 1953 roku. No, to tam znowu te papierosy, niektóre to paliły papier, a mama nie znosiła tego. No i awantury tam wewnątrz. No i też z tymi funkcjonariuszami, gdzie oni też jakieś nocne eskapady robili. Mama się buntowała, nie dawała się. Całkiem po prostu, bo ci wydrapię oczy, albo cię tak pokształcę, że cię twoja rodzona mama nie pozna. Była taka zaborcza w stosunku do funkcjonariuszy, tych ubeków. No i jak Stalin zmarł, mama to najlepiej określiła, bo na filmie to mam, „jak Stalin zdechł, to poprawiły się relacje”. Odetchnęliśmy trochę, dali nam jakąś gazetę przeczytać, to już warunki były takie łagodniejsze, bardziej cywilizowane. Bo tak to przez okres trzech, czterech lat w piwnicach, w kazamatach, to nie dali im nic praktycznie. A jak któraś się tam zbuntowała, coś powiedziała, to do karniaka na dobę, na dwie, na tydzień, na miesiąc, gdzie szczury tam grasowały, beton i miska jakaś kloaczna i nic więcej. I tam rzucili im kawałek chleba raz dziennie, ale mniejszy, i ten, i kawę, i do widzenia, więcej nic. Albo jak tam coś za dużo było, to w ogóle nie dali jeść. Takie warunki były. To po 1953 roku się zmieniło trochę. No i mama między innymi zachorowała na płuca. Bo warunki te, które były, takie były, że zachorowała, gdzie wszy, pluskwy, też odpluskwiania, odwszawiania, to właśnie po 1953 roku dopiero, a tak to siedziały w tych pluskwach, w tych pryczach, to tyle, że jak widzieli,

że te pluskwy już tak, one w błablach były całe. No, to te sienniki na placu wysypywały gdzieś tam jakieś słomy, siana, to były, to napychały te sienniki i to odżywały już, jak świeże, coś świeżego było. A tak to było okropnie. Natomiast przyszła ta odwilż, no już mogły całkiem po prostu na spacer wychodzić częściej i dłużej, bo nawet do pół godziny mogły być na spacerze, ale też jak się nie spodobało którejś funkcjonariuszce, to skracała to. No i co, mogły podjąć pracę, wewnątrz, nie na zewnątrz, wyszywanie patek milicyjnych. I mama tak się załapała na takie wyszywanie tych patek, mówi przynajmniej miała zajęcie jakieś, co odciążało, bo to można było, mówi, zwariować, siedząc tak cały czas, myśląc o tym, czy o tym, czy o tym. I szpital ją uratował, bo jak zachorowała, szpital ją uratował, gdzie musiała pójść do szpitala, lekarz się pyta: „Co pani zażywała?”. Więc mówi, że przyszedł lekarz więzienny tamten i przepisał debylinę, i jakieś inne lekarstwo. I tamten w kartotekę spojrzął do ekranu, mówi: „To słońca by zabiło, pani”, a mama: „Ja tego nie używałam, bo wyrzucałam te tabletki”, „To na szczęście, bo to by był koniec”. No i tam podleczyli mamę i wróciła z powrotem. I ona to do pracy poszła na dachu znowu z dekarzami. Też, mówi, to widziała przynajmniej Fordon, trochę powietrza więcej. Nosili cegły na drugie piętro na dach, w nosilkach takich. Ale to dla nich była uczta, że mogły oddychać świeżym powietrzem, nie te cele zabite i tak dalej. No i ci lekarze, bo powiedzieli lekarzom, że będą mieli do czynienia z morderczyniami, z najgorszym elementem jaki jest, istnieje. No jak mama opowiedziała im i druga, która z nią była, o tym kim są, za co zostały, to ci zmienili zdanie. Na następny dzień jakieś śniadanie przynieśli, jakieś coś tam. Tak, inaczej, zmienili podejście, inne mieli już do nich. Mówili, że tu same są polityczne, tu nie ma żadnych... No i w 1955 roku, co roku oczywiście ciotka mnie woziła tam do mamy, bo raz w roku tylko widzenie było, 15 minut. No i w 1955 roku amnestia i mama, będąc na spacerniaku, wyszła na spacerniak, akurat nie sama, była z koleżanką. Koleżanka pojechała do Bydgoszczy, całkiem po prostu, a mama sama na spacer poszła, na spacerniaku i mówi, że chodziła wokół klombów, bawiła się w wilka. Że ona jest wilkiem i tak chodzi wokół klombów. I w pewnym momencie naczelnik przyszedł i woła, „Wnorowska, chodźcie tu, dzisiaj wychodzicie z więzienia”. Od razu. To był 1955 rok. No i rzeczywiście, wszystkie trzy były, Irena Szajowska, Grzegorzczukówna i mama w tym samym więzieniu, tylko w innych celach. Nie miały kontaktu ze sobą. No, ale wszystkie jak przyjechały, tak wszystkie wyszły w tym samym dniu. Mówi: „Patrzcie, idzie Grzegorzczukówna, patrzcie, idzie Irena”. Mówi: „A to co?”. Myślały, że żarty, że chcą je gdzieś przewieźć do innego więzienia, bo jednak miały wysokie wyroki. No i ta eskapada tak się skończyła, że mama powróciła, przyjechała prosto do ciotki, do siostry, do Ostrzeszowa i do Turza, tam do mnie. No i w Przemyślu rodzice jeszcze żyli, dziadkowie, o ten dziadek i babcia. No więc z ciotką pojechali do Przemyśla. Ja zostałem jeszcze tam, w Przemyślu byłem raz tylko z ciotką, mając sześć lat chyba, sześć czy siedem lat to pierwszy raz dziadków poznałem, ale byłem krótko, trzy czy cztery dni byliśmy i powrót. Tak że na ogół dziadków to tyle, co tyle znałem. Też dla mnie, to była taka w tym czasie. I mama przyjechała, no i ciotka mówi: „No mama przyjedzie i tak”. „Mama, mama, jaka mama?” „No ta, co jeździłeś do mamy”. No ja taki byłem zdezorientowany, w ogóle jakby to nie dotyczyło mnie. I przyjechała, wróciła z Przemyśla, tam do Turza, mówi, no że pozostanie jeszcze przez pół roku tam u ciotki, żeby przyzwyczaić mnie do siebie. Ja jakoś nie mogłem, dla mnie to była pani, ciotka, nigdy nie powiedziałem „Mama”. Mama to była ciotka Wanda, i wujek Staszek, tato, Kryśka Kryśką, Jurek Jurkiem, babcia babcią. I no tam rzeczywiście odetchnęła, ponieważ w Turzu, wujek miał tam gospodarstwo, duże dosyć, las jeden, drugi i liściasty, i iglasty, bardzo blisko do lasu. No to mama korzystała z tego powietrza i często ja ją zaprowadzałem, a miałem tam konika, z którym ja, on kękał, ja mu kostkę cukru dawałem, on kękał, ja siadałem i jechałem. Ja jechałem, mama szła, do lasu żeśmy szli. No i tak w pewnym momencie mówi: „To jedziemy do Przemyśla”. Coś mnie zatkało, ja mówię: „Ja nigdzie nie jadę, tu zostaję z mamą, z tatą, do Przemyśla nie jadę”. I uciekłem, pamiętam, do stodoły wtedy schowałem się, szukali mnie, schowałem się, że nigdzie nie pojedę. No, ale

pojechałem, ciotka Wanda pojechała też, Jurek, Krysia też, pojechaliśmy wszyscy razem tu do Przemyśla. Dla mnie to była trauma, kiedy oni odjeżdżali. Całkiem po prostu przeżyłem to niesamowicie. Przecież mimo wszystko 9 lat wychowywałem się tam u ciotki, dla mnie wujek, ciotka to był „Tata”, „Mama” nigdy nie mówiłem. Do końca ich życia to mówiłem zawsze „Mamo”, a do mojej mamy w Przemyślu to mówiłem „Pani”, „Ciotka”, gdzieś do 17–19 lat to jeszcze było takie. Ja wiem, że mama mnie na pewno kochała i tak dalej, starała się, tylko że to więzienie dało jej też całkiem po prostu takie inne zachowanie. Nie umiała od początku, nie wychowywała dziecka od dzieciństwa do dorosłości. Mama była taka bardzo zdyscyplinowana i ostro trzymała, to miałem losy, ja byłem tam pierwszym, całkiem po prostu promowanym w rodzinie. Najmłodszy, babcia nigdy tam nie... Nikt nie mógł uderzyć, ja sobie robiłem tam i tam skończyłem drugą klasę szkoły podstawowej. Nie wyjechałem do Przemyśla tutaj oczywiście. Tutaj poszedłem do szkoły Sienkiewicza, bardzo blisko, bo Matejki schodziło się z góry na dół, ja nawet przez okno, tam dwa piętra w dół było, ja przez okno. Taki smyk byłem, że przez okno widziałem, no niebezpieczne to było troszkę. Byłem taki zbuntowany, mama to widziała, dyscyplinę trzymała. Z tym, że tutaj też ja nie znałem ludzi, nie miałem kolegów, jakichś tam miałem kolegów przez te dziewięć lat, a tutaj przyjechałem obcy, dla mnie wszyscy byli obcy, nawet dziadkowie, czy znajomi, czy ciocie jakieś, które były tutaj, dla mnie to były obce osoby. A jeszcze w szkole, „syn bandytki”, bo tam w ten sposób się wyrażali, ludzie nie wiedzieli. Bo wiedzieli o tym, że mama pracowała w UB, ale nie wiedzieli, że mama była wtyczką brygad wywiadowczych, wywiadu w Londynie, w WiN-ie była też, bo wiadomo, że połączone wszystko. „Syn reakcjonistki”, ja nie wiedziałem, co to znaczy. Kiedyś do mamy mówię, że pan mówi, że to „syn reakcjonistki”, co to jest? „A ty synu reakcjonistki”, a taki nauczyciel był, komuszek, i Fedewicz się nazywał, a z kolei dyrektor, mama udała się do dyrektora, dlaczego tak nauczyciel wyraża się wśród uczniów na lekcjach, „Ty synu reakcjonistki” i tak dalej. A dyrektor był kiedyś też w AK, ze szkoły i przejechał się po tym i już więcej nie było powtarzania takich słów, gdzie dyrektor zrobił im nawet takie spotkanie z uczniami i mówi, że przyszedł kolega, nie wolno go obrażać i to jest wasz kolega, i całkiem prosto naprowadził. Ale było, to nie tylko ten jeden, który „syn reakcjonistki”, jeszcze jeden był, ale to minęło, już później całkiem po prostu wszystko się układało, gdzie jeszcze tak dzieciaki powtarzały, „A to syn reakcjonistki”, „A to syn bandytki”, tak ktoś tam nazwał. Tak że chodziłem do szkoły, uczyłem się, skończyłem klasę siódmą, poszedłem do liceum i w liceum zdałem egzamin, liceum Słowackiego. Ale mama pracowała w Domu Książki, przez dwa lata, początkowo od 1956 roku podjęła pracę i cały czas do końca pracowała w Domu Książki jako kierowniczką, już później. Ale początkowo była pracownicą, bo mama kochała książki, kochała, ona w książkach cały czas siedziała, czy w księgarni chwila spokoju była, to książki, to same takie pozytywne egzemplarze. Pracowała od 8:00 do godziny 12:00, od 12:00 do 3:00 miała przerwę i w tym czasie przyszła do domu, to zgotowała coś dziadkom, mnie i znowu z powrotem do pracy do godziny 7:00 wieczór. Do 7:00 wieczór, wracała i tam pilnowała mnie z nauką, bo całkiem po prostu dyscyplina była. Mnie ta dyscyplina trochę nie pasowała, ale taka to była prawda, ja nie mogłem się z pewnymi sprawami pogodzić. Dla mnie to była „pani” i mówiliśmy sobie, mama mówiła „Synu...”, „A co pani ode mnie chce?”. Zacząłem tam dyskutować, no to mnie dyscyplinowała. „A chcesz iść się bawić? Nie, nie pójdziesz, siadasz tutaj i odrabiasz lekcje, zadania i tak dalej”. Tego to pilnowała, za co jestem wdzięczny teraz. Człowiek tego nie rozumiał i mogłem przyzwyczaić się. Mając tutaj ósmą klasę, zbuntowałem się i powiedziałem, że nie będę chodził do szkoły. Mama sama pracowała, tam te zarobki były wiadomo, marne. Ja mówię, że idę do pracy, gdzieś poszukam pracy sobie i nie będę chodził do szkoły. Zbuntowałem się, ósmą klasę zawałem i poszedłem drugi raz. No i skończyłem ósmą klasę, ale też powiedziałem, że nie będę tu w domu, idę do internatu, nie chcę być w domu. Mama już nie miała wyjścia i byłem w internacie przez okres jednego roku w internacie na Słowackiego. No i też skończyłem ósmą klasę i powiedziałem, że idę do innej szkoły, jakiś zawód.

Poszedłem do malarzy, że będę uczył się na malarza do budowlanki. No i tam z malarzami przepracowałem rok czasu, gdzie całkiem po prostu coś mnie poduczili tego malowania, próbowałem. I chciałem koniecznie pomóc, bo widziałem, że mama się krząta sama. Nieraz brakowało tych pieniędzy nawet na jedzenie, bo to utrzymać wtedy sama pracując, nie zarabiała takich kokosów. Ja byłem, babcia była, dziadek był, dziadek miał tej emerytury coś 150 złotych, bo to wtedy tak płacili. I tam popracowałem, też parę groszy zarobiłem i to starałem się dać do domu, coś pomóc. No i później postarałem się, czyli mama rozmawiała, była pani inżynier Chmielewska, która również siedziała za organizację AK. Ja mam tu zdjęcia tych pań, pokażę tutaj panu, całkiem po prostu. I mówi, że w biurze projektów pracowała, że potrzeba pracy na gońca. Ja podjąłem się pracy gońca. Przepracowałem rok i później do Światłokopii. Byłem w pracowni Światłokopii, tam odbitki robiliśmy, kserowaliśmy. Też zarabiałem, też pomagałem. No już człowiek inaczej. I wreszcie pani inżynier Chmielewska właśnie, Walicka-Chmielewska, bo po mężu Chmielewska. Mąż też w biurze projektów pracował, był kierownikiem pracowni instalacji sanitarnej. I ona mówi, zawsze brała mnie tam do siebie i mówi: „Popatrz się, tu masz deskę”, pomagała mi rozrysowywać, coś tam dała mi zadania, „No i słuchaj, ja cię zapiszę do szkoły, do technikum budowlanego”. No i tak się stało. W Krakowie skończyłem technikum budowlane, instalacje sanitarne, c.o., gaz, woda. No i w międzyczasie ożeniłem się, mam piękną żonę, troje dzieci, syna najstarszego, córka, magister po pedagogice specjalnej w Warszawie, Grzegorzewskiej. W tej chwili w szkole uczy, bo 26 lat pracowała z dziećmi niepełnosprawnymi. No i mam najmłodszą córkę, 45 lat już ma, najmłodsza, niepełnosprawna z zespołem Downa. Najwspanialsza dziewczyna, która mieszka ze mną i ta starsza córka również też ze mną mieszkają. Ja pracowałem w biurze projektów później, na pracowni jakiś czas, ale projektuję właśnie u inżyniera Chmielewskiego, natomiast później przeniósłem się na budowę. Całkiem prosto podjąłem pracę w PGM i tam zakład remontowo-budowlany był i ADM, przy ADM i tam pracowałem dwa lata. Po dwóch latach znowu taki znajomy mamy, też akowiec, który był kierownikiem Hydro-Inżu, którzy oczyszczalnię ścieków tu budowali i mnie ściągnął. Zarobki też, mówi, że zarobki wyższe da mi niż tu w biurze projektów na budowie, jako kierownik budowy i tam odcinka budowy, i zatrudnił mnie tam. Tam przepracowałem do końca budowy, nagrody otrzymałem, tylko później całkiem po prostu chcieli nas przenieść na Solinę, względnie do Sandomierza, bo to budowy były te właśnie oczyszczalnię ścieków w terenie. Ja ze względu na to, że już byłem żonaty, dwoje dzieci, urodziła się mi córka pierwsza, no i zrezygnowałem. I całkiem po prostu wszyscy, inżynier Kotkowski, inżynier Kostecki, też zrezygnowali i nie poszli. A kierownik budowy KGR-u, właśnie ten, z którym był Bacha, został kierownikiem grupy remontowo-budowlanej przy szpitalu. I ze względu na wiek, bo już był w okresie, zadzwonił do mnie, czy ja bym do niego nie przyszedł, warunki płacy takie i takie, lepsze też. No to ja mówię, dobrze. Nie miałem praktycznie pracy jakiegś takiej tutaj i poszedłem do pracy, do grupy remontowo-budowlanej przy Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym w Żurawicy. Tam przepracowałem dwa lata i ze względu na to, że tam zmieniali, chcieli, żebym został dyrektorem, ja zrezygnowałem z uwagi na to, że nieciekawe towarzystwo było tych techników, kierowników odcinków i budowy były rozrzucone po całym województwie. I powiedziałem, że rezygnuję z dyrektorowania. Nawet sekretarz mnie wezwał, gdzie ja nigdy nie byłem partyjny. Jan Cichocki taki, „no wiecie”, ja tak się oglądam, ja mówię: „Kto tu jeszcze jest?” „A, no nie, wiecie, to znaczy, że wy nie jesteście”, ja mówię: „Nie, jestem katolikiem, praktykującym” i tak dalej. „Aha, no ale wy jesteście dobrym pracownikiem, wy byście to dobrze poprowadzili”, bo miałem pięć budów różnych, tam też prowadziłem. Ja mówię: „Nie, dziękuję, nie przyjmę tej pracy, jeżeli uważacie, że chcecie się mnie pozbyć, to ja odejdę sam”. I nadarzyła się okazja przy spółdzielni rolniczej, gdzie chcieli założyć grupę remontowo-budowlaną i nie mieli ani pracowników, ani kierownika, więc całkiem po prostu taki prezes Mirowski, a Motyl właśnie ten, który odszedł, co mnie ściągnął tam do Żurawicy do szpitala, gdzieś znał tego prezesa spółdzielni i on mówi, że potrzebuję, mówię: „To ja ci

podpowiem, kto tam może przyjść do ciebie”, „Ale warunki jakie?”, to półtorej tysiąca dał mi więcej, żebym przyjął pracę i tak dalej. No i poszedłem tam, tam przepracowałem dziesięć lat, jako kierownik grupy remontowo-budowlanej, założyłem tę grupę, ale okazało się po pewnym czasie, że żona zachorowała poważnie, no i córka, ta niepełnosprawna, żona na onkologii, sześć miesięcy w Lublinie, więc musiałem podjąć decyzję o wcześniejszej emeryturze i poszedłem na wcześniejszą emeryturę.

Szymon Nowak: Który to był rok?

Stanisław Wnorowski: 1989 rok, bo to wtedy akurat Piotrek i Agnieszka mieli maturalne klasy, no i Magda, nie było z kim zostawić, to koleżankę miałem taką, która przychodziła do Magdy na dłuższy okres, ona też nie mogła, ona w MOPS-ie pracowała, mówiła: „Ja przyjdę na parę godzin, ale ty musisz przyjść, bo ja muszę iść do pracy dalej”. Tak że całkiem po prostu poszedłem na tę wcześniejszą emeryturę, pracowałem całe życie sam praktycznie. Tak że losy takie moje, całkiem po prostu chciałem pomóc mamie, żeby sama nie pracowała, bo ciężko było. To takie miałem właśnie spojrzenie na to, że mając już 19 lat, pierwszy raz powiedziałem „Mamo”, a tak cały czas to „Pani”, to „Ciocia”, takie miałem te. I później relacje już inne były, całkiem po prostu człowiek mądrzejszy z wiekiem.

Szymon Nowak: A co się działo z pana mamą, bo pracowała w tym Dom Książki w Rzeszowie i co się dalej działo z mamą?

Stanisław Wnorowski: Mama pracowała, była kierowniczką, a ostatni rok przed emeryturą, bo tam brakowało, była w antykwariacie.

Szymon Nowak: Czyli cały czas przy książce?

Stanisław Wnorowski: Cały czas przy książkach, tak że odeszła na emeryturę z antykwariatu już i całkiem po prostu poszła. Nawet po czym wyszła za mąż, ponieważ córka jak się moja urodziła, Agnieszka, to wtedy, kiedy miała chrzciny, był ślub mamy w jednym dniu. No i mama poszła mieszkać, bo ja z teściami mieszkalem, mama poszła mieszkać do męża, przy Stachewicza mieszkał, gdzie teraz syn ma to mieszkanie. A ja pozostałem na Matejki, tam w tym domu. No już później zmieniłem mieszkanie, bo tam to był stary budynek, połowa drewniana, połowa murowana, ale nie nadawał się już, do rozbioru. Tylko, że ktoś go kupił, sąsiadka, która się dowiedziała, bo dziadek mówi: „A na co mi to?” Ja w wojsku byłem, bo w międzyczasie z biura projektów poszedłem do wojska i wróciłem później z wojska z powrotem do biura. No i w międzyczasie tam była sprzedaż i ta sąsiadka wykupiła za parę groszy. – Szkoda. Szkoda, bo tam naprawdę był, ja bym sobie dał radę, bo pracowałem w PGM-ie już w tym czasie. Tak że mogłem tam sobie po prostu remont przeprowadzić, przynajmniej tej drugiej połowy. A tak to musiałem skorzystać z urzędu, bo tu się waliło i dali mi mieszkanie w rynku, gdzie 25 lat przemieszkałem. Najpierw pokój z kuchnią i to trójka dzieci, to ciężko było, a później sąsiadka odstąpiła mi pokój i mieliśmy już dwa pokoje z kuchnią. No i tam remonty porobiłem, bo tam wspólny ubikac to duży budynek, koło urzędu miejskiego zaraz, taka szeroka brama. I stamtąd przeprowadziłem się tutaj.

Szymon Nowak: A ile lat już tutaj pan mieszka?

Stanisław Wnorowski: 23. – No to można się żyć już. – 23 lata, od samego początku, bo to nowo budowany był budynek. Ja tam porobiłem remonty podłogi, ubikacje, no wszystko, łazienkę zrobiłem, bo tak łazienek tam nie było, tylko proste. Toalety były na zewnątrz, trzeba było przejść przez cały balkon, bo to były takie krużganki wokół. Tak że zrobiłem remont, ale żona mówi, ze względu na Magdę, mówi: „Słuchaj...”, bo byłem również w międzyczasie już na emeryturze, byłem radnym Rady Miejskiej przez okres ośmiu lat, dwie kadencje. I ja mówię do żony: „Słuchaj, ja nie mogę ze względu na to...”, a byłem jeszcze szefem komisji mieszkaniowej. Ja mówię: „Nie mogę”, tylko że warunki, bo mieli oddać te budynki ludziom, którzy nie mają ani żadnych zasobów, oni by to zniszczyli moment i nie płaciliby, i dalej w ruinę poszłyby te budynki. No więc ci, którzy mieli mieszkanie, ja miałem tam 74 metry, a tu 61 jest. Poszedłem na mniejsze, z tym, że ja tam miałem łazienkę, ubikację, wszystko, komfort miałem. Tylko trzecie piętro, a ze względu na Magdę, ta niepełnosprawna, miałbym problem ogromny. Gdybym, no, ja mówię: „Ty napisz pismo jak chcesz, ja sam nie”, pewnie żona tutaj właściwie zadziałała, warunki spełniała. Tylko ja, później mi wytykali, że ja mieszkanie sobie wziąłem, tylko ja nie wziąłem, bo zostawiłem o 12 metrów większe mieszkanie i wyposażone też we wszystkie urządzenia. Tak że tutaj nie było tak, że ja poszedłem, bo poszedłem. – A pan coś wspominał, że pan poszukiwał śladów swojego ojca. – Tak.

Szymon Nowak: Jak to się dalej potoczyło? Bo on dostał karę więzienia, tak?

Stanisław Wnorowski: Nie wiem czy panowie znają pana Morawskiego.

Szymon Nowak: Z Warszawy?

Stanisław Wnorowski: No tak. – Pan Morawski przyjechał tutaj też do mnie.

Szymon Nowak: W tej sprawie?

Stanisław Wnorowski: Proszę?

Szymon Nowak: W tej sprawie, tak?

Stanisław Wnorowski: Tak, w sprawie ojca. I mówi, że też pyta się o ojca. Ja mówię, no ślad po nim przepadł z uwagi na to, że obojętnie, to był człowiek. Natomiast jego zmusiła sytuacja, w której się znalazł. On się nie prosił, żeby rodzinę wywieźli na Syberię i on tam skończył tę szkołę, studia. No i był Polakiem, przyjechał tutaj i przyszedł z Wojskiem Polskim. To, że szkolenie w Kujbyszewie mieli, bo to wszyscy. Okres wojny to jego zabrali do wojska, wcielili i całkiem po prostu. Później już NKWD rządziło. Oni decydowali o losach oficerów, nie-oficerów tych niskich. No i przyszedł tutaj. Całkiem prosto poszliśmy śladami i przyjechał właśnie pan Morawski tutaj. Samochód zostawili, bo to samochód wyposażony w kamery, wóz transmisyjny był, ale przyjechał z Ukrainy, z łucka samochód i kierowca ukraiński. Tu zostawili samochód, a kamery to wszystko przerzucili na tamten samochód i pojechaliśmy. Pojechaliśmy drogą, bo ojciec urodzony był w Żytomierzu, pod Żytomierzem w Czerwonym Dworze. I to rzeczywiście Czer-

wony Dwór, bo tam dojechaliśmy, że to Czerwony Dwór i to był dworek, jakiś czerwony też, z kolumnami. Ponieważ jak dotarliśmy tam, ciężko było nam tam dotrzeć, bo pytaliśmy i to nie nazywał się Czerwony Dwór, tylko Krasnaja Chatka. Zmienili nazwę na Krasnaja Chatka. No, ale dojechaliśmy tam. Pytamy ludzi, tych starszych, wiekowych czy znają, no, mówią: „Był taki nauczyciel, uczył tam w szkole też”, ale mówi: „No, nie wiem, co się stało” i tak dalej, bo to okres wojny, wie pan, ludzie nie bardzo pamiętali. Jedna tam pani taka była, która sklep prowadziła, starsza i mówi, że знаła rodzinę Zapałowskich, i co powiedziała? Mówi jedno, że siostra Zapałowskiego gdzieś uciekła do Kanady, że ona przeżyła i gdzieś uciekła do Kanady, że w Kanadzie była. Tak rozmawialiśmy i ona zaczęła mówić i kamerzysta jak przyszedł z kamerą, oni jak kamerę zobaczyli, przestali mówić w ogóle. Nic nie powiedzieli. Mówi: „Nie, to córka tamta, ja muszę iść” i tak dalej. Koniec rozmowy był znowu, no, to przecież nie zmuszę kobiety. No i Morawski mówi: „To kamerę schowaj, żeby nie, ten był inaczej, to tutaj ciężko będzie się dogadać z ludźmi”. No ale szukaliśmy, nie ma nic. U księży byliśmy w klasztorach tam, czy nie mają jakichś dokumentów. I mieliśmy jechać do Żytomierza, ale ponieważ pan Morawski się spieszył, tam gdzieś byli umówieni i musieliśmy powracać, tak że nie dojechaliśmy jednym słowem. A zresztą przez Czerwony Krzyż się starali też. Mamy brat starszy, był w Londynie, on był w przedwojennej dwójce. No i wylądował u Andersa pod Monte Cassino, później do Anglii i tam przybywał. Też starał się i co jeden list, który wysłał ojciec do rodziców, tak szedł, że myśmy otrzymali ten list w 70-tych latach z Anglii. Mam ten list tutaj, do rodziców pisany przez ojca. I ślad po nim zaginął. Siedział w Barczewie. Trzy lata odbył prokurator z Rzeszowa, major. Ja mam dokumenty tutaj. Pyta się, zapytanie staje, co z Zapałowskim, dlaczego nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości, już powinien być na wolności, a ma tu swoje rzeczy. Tam jakieś rzeczy zostały. Prokurator pięć czy sześć razy zapytanie daje do naczelnika więzienia. W końcu odpowiada, że został przesłany do Warszawy na Pragę. Stamtąd napisał, czy z pociągu do rodziców list, że potrzebuje 3000 złotych, 200 papierosów, żeby mu wysłali i coś do jedzenia na Pragę. Rodzice mu wysłali paczkę, dziadkowie moi, wysłali mu paczkę, te 3000 złotych i 200 papierosów. 3000 złotych, 200 papierosów nie wróciło. Paczka z żywnością, jakiś kurczak, wróciło. Ktoś na pocztę mówi, co to za paczka, że taki smród jest, fetor z tego. A ona wróciła stamtąd. I rodzice napisali, co się dzieje z Zapałą, dlaczego paczka wróciła, pieniądze nie wróciły, papierosy nie. Więc odpisali, że proszę zgłosić się do ambasady radzieckiej. I za piątym czy szóstym razem ten prokurator otrzymał wiadomość z więzienia tego w Barczewie, że został przekazany, że zajęli się nim, UB się zajęło nim i NKWD. I został przetransportowany do Moskwy. Ale to nie, bo jak przyjechaliśmy w Łucku do pana Bronisława w 2007 roku u tego pana Szymańskiego, który był na szkoleniu razem z ojcem. I tam zapytanie, przyjechaliśmy tam, okazało się, że w Łucku kierowca mówi: „Ja tam nie pojedę”. Dlaczego? On mówi, to są trzy budynki NKWD. Mów: „Ja tam nie będę, to jest pod ochroną, tam was poaresztują”. Mówi: „Mnie też zaaresztują”. Ale mówimy, to dwa budynki dalej staniemy. No i trzymamy, mnie naszpikowali mikrofonami, czy jest łączność, nie było łączności. I kierowca podjechał pod budynek jednak. I wyszła taka młodzież. Ja paliłem papierosy, jeszcze wówczas Marlboro. O, Polacy, Polacy są, rozmawialiśmy pod blokiem, tam staliśmy i operator kamery miał też przykrytą płaszczem. Do kogo? My mówimy twardo, do Bronia Szymańskiego. A on na pierwszym piętrze mieszka, ale tam się nie dostaniesz, my wam zaraz otworzymy. To było zaszyfrowane, otworzyli. No i tam numer 22, czy jakiś, nie pamiętam już w tej chwili. No i przyszliśmy tam, otworzyła nam kobieta. No czarna taka, dość, dość, już wiekowa, a Bronia nie ma, bo jest na działce. No i pan Morawski mówi: „Ale ja się umówiłem z nim”. „Tak, ale on nie chce, bo wyraził zgodę, że będzie, ja wiem, że będzie mówił, ale on nie chce rozmawiać na ten temat”. A nie wiedział, że my stoimy z boku, bo myśmy na schodach stanęli, a on z Morawskim rozmawiał. I zamknęła drzwi. Mówi: „Zaraz, chwileczkę, ja zaraz przyjdę, może się dodzwonię

do niego". Czekamy 5–10 minut, nie ma, no, to jeszcze raz, dzwonek. No ona wyszła i zauważyła nas, ja na schodach stałem, akurat, zauważyła mnie, wychyliła się, „A tu jest trzech panów z Polski, no, to proszę”. „Poproś”, mówi: „To proszę na herbatkę” i tak dalej, „Bronia nie ma, nie wiem, kiedy on przyjedzie z działki” i tak dalej. No to zaprowadził nas jeden pokój, drugi, trzeci, prawo, lewo, tam gdzie siedliśmy sobie. Piękne meble, stare, takie polskie, orzech, meble takie, zegar taki kurantowy, piękny. Kamerzysta sobie siadł, położył aparat, ustawił tam, tu krzesła takie, kanapa była, myśmy siedzieli. Włączył kamery, myśmy siedzieli, rozmawialiśmy, ona tam opowiadała o różnych takich rzeczach, że ona była łączniczką, sanitariuszką w AK, z Wileńskiej AK. Ją nazywali „Krwawa Berta”, okazuje się, że ona wydała organizację AK w Lublinie, całą organizację, ją „Krwawa Berta” nazwali. A on był całkiem po prostu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie przy Róžańskim i on wykonywał wyroki razem z innymi, Róžański też przy okazji. Bo kiedy przyjechaliśmy do niego i myślałem, że to jakiś potężny chłop, a to taki umiarkowany, już starszy, już starszy. Bo on później, za jakieś dwie-trzy godziny, tam dzwonił, syn przyszedł, córka, bo miał tam synów, córki, a dwie chyba wnuki, tam zaczęły biegać, to ta ich przepędziła. – Proszę? – On się zjawił w końcu. I w końcu dzwonek, bo to dzwonek to było kilka, To pewnie już Bronio idzie i tak dalej, bo ja tam powiedziałem. A ona siedziała i okulary, tak jak siedziała na kanapie, a koło mnie siedziała, bo ona zmieniała okulary. Tu jej coś błyskało, kamerzysta zauważył to w kamerze i mówił: „Uważajcie, bo ona ma jakieś dziwne okulary, a szczególnie uważajcie na ten zegar, kukółka tam jest, tam cały czas światółko tylko”. A to kamera, kamera była podłączona i on przyszedł, no z działki, z działki, ja wiem jak z działki, przecież człowiek na działkę też chodzi. To w butach, buty rozsznurowane oczywiście, patrzcie czyste buty, bo tak, z działki jeszcze, popadało wtedy trochę, no ale nic, rozmawiamy. I ja całkiem po prostu pytam się, czy znał mego ojca, pokazałem mu zdjęcie ojca. „No tak, tak, no na pewno byliśmy na szkoleniach”. Mówię: „Ojciec był naczelnikiem wydziału, nie był naczelnikiem, tylko kierownikiem”. A on był w tym czasie pułkownikiem Urzędu Bezpieczeństwa z Róžańskim, tylko był kierownikiem. No ja mówię: „No, możliwe, wie pan, tam te określenia wasze, czy to kierownik, czy naczelnik”. W każdym bądź razie, ja mówię: „A co się z nim stało, bo był w Warszawie, dostał wyrok, trzy lata odbył kary i później przepadł. Pojechał na Pragę i z Pragi przepadł”. „No, może go wywieźli do Moskwy. Ale już tyle narozrabiał, bo im dał w kość, ubekom”, bo tam coś nie tak było. No, on się buntował też gdzieś. I mówi: „Albo go zakatrupili tutaj, bo im się nie opłacało, to wzięli i zakatrupili. I co to dla nich, strzelił, dostał strzał w głowę i już zakopali”. Tak on opowiadał, jak gdyby nigdy nic. Ja mówię: „Ale pan był w tym czasie w ministerstwie, wie pan co z tymi ludźmi”. No tak, oni przeważnie do Moskwy, ale jak się nie opłacało, narozrabiał za dużo, Mnie się zdaje, tylko katrupili”. I to była jego relacja. I tutaj Płużański właśnie pisze, że poszukiwał tego Róžańskiego i nie mogli go odnaleźć. A ja go odnalazłem w 2007 roku, a to był, nie wiem, który tam, 2011 czy 2012.

Szymon Nowak: Wydanie książki, tak?

Stanisław Wnorowski: Tak, nie wiem, nawet już w każdym razie późniejsze i mówią, że nie tak. I jakoś nie mogłem się spotkać, bo chciałem spotkać się z panem Płużańskim i porozmawiać właśnie o tym Bronisławie Szymańskim. Że on w Łucku jest i to, co, w Łucku był i pobierał emeryturę polską. Płacili mu polską emeryturę tam. Ja aż się zdziwiłem, jak to, coś nie tak. Pan Morawski mówił nawet tak. – Za to, że ganiał polskich patriotów, tak, zamykał do więzienia. – Tak, odstrzelił, bo to był morderca. W każdym bądź razie on pokazał mi właśnie, pan Morawski, książkę, jakie wyroki tam zostały wykonywane i przez niego. Gdzie tam nazwiska były, kogo generała, generałową zastrzelił i tak dalej,

już w Lublinie właśnie wtedy przy tym. I to był właśnie ten pan Bronisław, gdzie nigdy bym nie powiedział, że on. –

Szymon Nowak: Że to morderca?

Stanisław Wnorowski: Tak, nigdy bym nie powiedział. No i na tym się skończyło, bo... A i jeszcze rozmawialiśmy. Pokazywałem zdjęcie ojca, ale jak powiedziałem o mamie, że otrzymała wyrok śmierci, że całkiem po prostu przeszła w więzienie i Fordon, i Rzeszów. Ja mówię, że to była moja mama i Zapałowski to mój ojciec. Tak, ta kobieta. Przestał mówić. Mówi, „ja już nie pamiętam nic, już więcej nic nie powiem”, zaczął. – [niezrozumiałe] – Tak. I już na tym rozmowa się skończyła. Tak że, że tutaj, co zrobili z tym człowiekiem, to nie wiem. W każdym razie pan pułkownik Socha, nie wiem czy spotkał się pan z nazwiskiem, który też opisuje, między innymi. Rozmawiał ze mną, ja pierwszy raz go w ogóle widziałem, mama miała kontakt bliższy z nim. Mówi, że on w Barczewie też siedział i całkiem po prostu ojca znał. Mówi, że jego tak poksztacili, że powybijali mu zęby, połamali nogi, paznokcie mu wyciągali. Nie wiem, czym on tak dokuczył. Oni twierdzili, że... Na pewno przekazał pewne informacje, przekazywał mamie, będąc razem. Tu nie wyszło, to nie wyszło, więc wiadomo, że coś tam przeniknęło. – Może ten Szymański miał rację, że go tak zmaltretowali że później go zamęczyli do końca. Nawet nie brali go do Rosji, bo stwierdzili, że już nie chcą go, po co. – Tak. – Straszne, że nie ma sądu, nie ma wyroku. – Czyli wyrok odbył te trzy lata temu. – Tak, wyrok więzienia. – Wyroku śmierci nie ma, a praktycznie zniknął. – Tak. I tak nie jeden właśnie zniknął. Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że jestem bardzo dumny z mojej mamy, która całkiem po prostu walczyła o wolną, niepodległą Polskę. Uratowała masę osób, dzięki którym niektóre do dzisiaj żyją. Była wspaniałą kobietą jednak. Dała z siebie wszystko. Dla niej było ważniejsze to, że ona złożyła przysięgę, że będzie walczyć o wolną, niepodległą Polskę. Czy będzie to zagrażało jej życiu, czy nie. Do końca dotrzymała swojego słowa. Za to otrzymała nagrodę od ówczesnych władz, sądów, które były i do dzisiaj są. Te sądy bardzo nieprzychylnie w niektórych momentach. Zapytując się pani sędzi, czy ja otrzymałem wyrok, czy nie, czy byłem skazany, czy nie, żeby mi odpowiedziała. Nie odpowiedziała w ogóle nic. – Przecież pan siedział w więzieniu. – Osiem miesięcy na zamku w Rzeszowie, miesiąc czasu w Fordonie w Kazamatkach. Przetransportowany bydlęcymi wagonami jako więzień. Bo jak przetransportowany, to kogo transportowali. Tak że tutaj mam żal do sądów obecnych, gdzie w tych sądach niestety przebywają jeszcze osoby, córki, synowie byłych ubeków, byłych funkcjonariuszy, którzy mieli możliwość wyjechania za granicę, ukończenia studiów czy prawniczych, czy jakichś innych. Mnie, dajmy na to, nie stać było, żeby móc jakieś studia ukończyć i tak dalej. Natomiast tu przybywałem, bo zapytałem również o ojca, co mogło się stać. Sądy powinny mniej więcej wiedzieć w takich sytuacjach, co robili. Bo on był obywatelem polskim. – Powinny tutaj być. – I to w dokumentach ma, i obywatelstwo polskie, i obywatelstwo radzieckie. Nie wiadomo, czy miał polskie, czy te. Tu miał polskie, a tu radzieckie. – Wiadomo, które ważniejsze, w danej chwili. Teoretycznie polskie sądy mogą się zwrócić z zapytaniem do sądów obecnie w Rosji, czy są tam dokumenty... – Oczywiście. – oficjalnie wysłane. – Ale to oni... – Wiem, że oni się tymi dokumentami nie chwalą. – Nie są, nie są. Całkiem po prostu. Dlatego mam takie uczucie, z niesmakiem patrzę właśnie na sądy. Nie wszystkie, bo są ludzie i ludziska. Ale widać z niektórych postępowań, które są. To jest tragiczne, że jeszcze do tej pory nie zostało to do końca załatwione. Dekomunizacja nie została załatwiona. Dzięki temu, mama do ostatniej chwili mówi, „To nie jest jeszcze wolna Polska”.

Szymon Nowak: Ale czy mama została zrehabilitowana? – W końcu została, tak?

Tak. – Przed śmiercią udało się. – Udało się.